

## KRONIKA PARYZKA

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

---

„Trojanie w Kartaginie”, pięcio-aktowa opera Berlioza. — „Kapitan Fracasse”, powieść Teofila Gautier. — Krytyczne studjum Nowego Testamentu (Etudes critiques sur la Bible par Michel Nicolas) — Listy Karola Sismondi (Lettres inédites de Ch. Sismondi publiées avec introduction par Saint-René Taillandier) — Wiadomości literackie.

„Trojanie w Kartaginie”, pięcio-aktowa opera Berlioza należy do niezwykłych w tych czasach dzieł sztuki. Autor zarazem i poematu i muzyki Hektor Berlioz, jako śmiały nowator wystąpił na scenie paryzkiej, najskrupulatniej strzegącej dawnych tradycji. Natychmiast też wybuchła żywa polemika: jedni ganią, drudzy chwalą nową operę, z gwałtownością dowodzącą najlepiej jej niepospolitości. Krytyk sprawiedliwy powinien w tym razie więcej niż kiedy, obustronnej przesady unikać; miejsce jego na wzgórzu dzielącym przeciwników od wielbicieli; obowiązek, po szczególe chwalić rzeczy pochwały godne, w ogóle zaś, uszanować talent wyższego rzędu, który jeżeli pobłądzi, to tylko uciekając od powszedniości, a jeżeli upadnie, to wdzierając się na szczyty.

„Trojanie w Kartaginie” są drugą częścią lirycznego poematu Berlioza. Pierwsza tworzy operę we trzech aktach, pod tytułem: „Zdobycie Troi”. Autor musiał przepołowić rozległą kompozycją, inaczej bowiem zajęłaby noc całą. Zrećnienie ułożony prolog wiąże dramat odczepiony, z dramatem pozostawionym w tyle. Podnosząca się w głębi kórtyna odsłania zwałiska Troi: lirnik

wychodzi na scenę i śpiewa podstęp zdradziecki Greków, który Ilionu mury w gruzu obrócił. Za sceną jednocześnie zrywa się radość starożytnego tryumfu; głosy rozmaitych instrumentów w marsz zwycięzki złane, wybuchają i przebrzmiewają, niby echo dalekiej przeszłości.

Po tym wstępie epicznym, który do tonu pieśni nastroja słuchaczy, podnosi się druga zasłona i odkrywa przedsiemek pałacu Dydony w Kartaginie: królowa otoczona ludem i przepychem dworu, rozdaje nagrody marynarzom, oraczom i budowniczym rodzącej się Kartaginy; architekt dostaje srebrną gruntwę, marynarz misterne wiosło ze słoniowej kości, sędziwy rolnik wieniec z kłosów zbożowych.

Słusznie zganiono tę scenę, uważając ją za nazbyt tegoczesną, nazbyt przypominającą obrządek rozdania nagród po wystawie przemysłowej.

Wirgiliusz pokazuje Dydonę w wyższej sferze: „siedzi na wysokim tronie w świątyni, gdzie dyktowała prawa, wymierzała sprawiedliwość i wyznaczała robotę”.

Cóżkolwiekbyś, pod względem muzycznym dyalog pomiędzy królową a jej ludem, Berlioz oddał znakomicie: Dydonę z bohaterskim zapałem zachęca do pracy; Tryjeczycy odpowiadają jej twardym chórem, brzęcącym, jak ich młoty na kowadle.... Rzekłbyś, cyklopy witające przybywającą do kuźni Wenus.

Domową ucztę przerywa przybycie niespodzianych gości. Donoszą Dydonie, że nieznani ludzie wylądowali i pragną przed tronem jej stanąć. Niebawem wodzowie trojańscy z Askaniaszem na czele, wchodzą i proszą o gościnność. Dydonę daje im za gospodę swój pałac i miasto. Jednocześnie przychodzi wieść, że Sarbas dziki król Numidów z wojskiem ciągnie na Kartaginę: wtedy, ukryty Encasz daje się poznać.

W *Eneidzie* wódz Trojanów wychodzi z chmury, którą go Wenus otoczyła. Wirgiliusz mówi: „Wówczas Encasz ukazał się naprzeciw w jasności, z oblicza i postawy bogu podobny, bo mu matka natchnęła różowy promień młodości, wdzięk włosa i kwitnącą świeżość powiek. Podobnie ręka kunsztmistrza dodaje blasku słoniowej kości, lub kamieniowi Parosa, nasadzając je złotem”.

Na scenie, ponieważ łatwiej płaszczyz zrzucić, niż wyjść z chmury; Eneaszy wychodzi z marynarskiej odzieży i ofiaruje zachwyconej Dydonie miecz swój ku obronie jej państwa.

Akt drugi rozpoczyna *symfonia* pod tytułem „Królewskie łowy”. Dekoracye i muzyka bez słów oddają opis Wirgiliusza. Widać las: w głębi grotę zamkniętą wodospadem. Krajobraz pokazany na scenie, maluje orkiestra: flety naśladują świst wichru, a skrzypce drżenie liści: wszystkie łoskoty wzburzonego lasu odzywają się w akompaniamencie. Niebo ciemnieje i wnet wybucha burza. Spłoszone Najady w błyskawicowym świetle pokazują się i nikną; strzelcy przebiegają bór, zwołując się wzajemnie; orkiestra wzrostowi nawałnicy wtóruje; Boreasz takt uderza i wodzi smyczki. Eneaszy z Dydoną przybywają, szukając schronienia i wchodzi do groty; Nimfy uciekają z niej wystraszone, a girlanda Sylwanów zawodzi taniec wokoło... piorun uderza i zapala drzewo. Jestto pochodnia himenu dwojga ukrytych w grocie kochanków.

Ten mimiczny przekład sławnej burzy z *Eneidy*, wydał się na scenie tak dziwny, tak niestósowny, że go autor pó pierwszym przedstawieniu skasował. Domagano się, ażeby scenę wyśpiewać; ale położenie do słów jeszcze mniej się nadaje; lepiej nań było zarzucić kaskadę i ciemniem nawałnicy osłonić. Więc nie milczenie wyrzucać należało Berliozowi, ale to raczej, że nadał scenie charakter więcej szatański, niż mitologiczny. Łowom zdaje się przewodniczyć djabeł urwany z niemieckiej legendy; właściwiej niż Dydona w łowieckim stroju Dyany, wydalały się tu czarownica na łopacie. Jestto Wirgiliusz tłumaczony wolno przez doktora Fausta.

Akt drugi jest koroną partycyi. Przemineły ciemności: obraz tonie w starożytniej pogodzie bez chmurki. Widać ogrody Dydony, egipskie branki tańczą, królowa leży na łożu ze słoniowej kości, u nóg jej siedzi Eneaszy.

Scena ugrupowana jest wedle obrazu Guérin'a „Eneaszy opowiadający Dydonie nieszczęścia Troi”. Dydona leży na łożu przykrytym skórą pantery; nad czołem jej błyszczy wschodnia tyara; suknia lniana, prawie przezroczysta, uwydatnia jej majestatyczną kibić; oczy skre-

pełne utkwila w Eneasza... jedna jej ręka bezwładnie opada, drugą trzyma za szyję kupidyna. Cudny krajobraz okala scenę: w głębi przedsionek egipskiej świątyni, kadzidło się pali przed posągami Neptuna; w oddali widać Kartaginę roztoczoną nad zatoką w półksiężyc: dalej jeszcze błyszczy spokojne morze. Zmrok iskrzący jak zarzewie, rumieni niebiosy; obecność kupidyna zdaje się zapalać atmosferę.

Teatr liryczny oddał prawie dokładnie powyższy obraz Guérin'a; oczy oczarowane od razu, uszy niebawem są zachwycone. Sextet z chórem opiewa rozkosze nocy wschodniej. Udatny wiersz Berlioza odpowiada sonetowi krymskiemu Adama:

„Nocy wschodnia! Ty naksztalt wschodniej odaliski  
Pieszczotami usypiasz — a kiedyś snu blizki,  
Ty iskrą oka znowu budzisz do pieszczoty”.

Nuta przecudna! Muzyk zlał w nią wszystkie harmonie duszy i natury, pogodę niebios i zachwyt serca, słodycz powietrza i upojenie zmysłów. Szczęście życia i szczęście kochania malują się tu pospół. Głosy cichną jak przyćmione barwy pięknego wieczora; śpiew coraz słabszy zdaje się wtórować wszystkim fazom omdlewania dnia jasnego; powracające brzmienie jednej klarynetowej nuty jest biciem jednego serca tej sześcio głosowej pieśni.

Czar się przedłuża. Po sextecie następuje duet Dydony i Eneasza. Zda ci się, że słyszysz Oberona i Tytanię wywołujących mitologiczne widma przy dźwięku harfy eolskiej. Poeta mówi o „pocałunku posrebrzonym światłem księżyca”, to wizerunek tego duetu zagłębiającego się powoli w światłocienie nocturna.

W operze, jak w *Eneidzie* „posłaniec bogów Merkury przybywa zniweczyć bożostan dwojga kochanków: „Italia”! woła, uderzając za sceną w puklerz bezczynnego wojownika.

Dekoracya piątego aktu przedstawia zatokę morską, na której się kołyszą trojańskie okrety. Majtek zawieszony na maszcie, śpiewa tęskną barkarolę. Eneasza rozpacza, iż musi porzucić Dydonę... waha się, czy płynąć, czy pozostać... Wtém głosy pomordowanych Trojan od-

zywają się groźnie, nakazując, żeby dopełnił dzieła przeznaczenia. Wtedy rzuca ukochaną i odpływa.

Po odjeździe Eneasza, Dydona wpada w rozpacz straszliwą: nakazuje Tyryjczykom, żeby ścigali Trojan, a sama każe znosić na stos wszystkie podarunki, które dostała od niewiernego kochanka. Kiedy stos już wznieśiony, kapłani Plutusa krwawo ubrani, intonują śpiew pogrzebnny, jakieś *de profundis* Tartaru. Dydona z rozwianym włosiem wchodzi na stos obłąkana, przeklina Eneasza i przebija się jego mieczem, przepowiadając Annibala.

Takie są ogólne zarysy téj opery. W pięknych ustępach Berlioz podnosi się do stylu wielkich muzyków, przypomina prostotę Glucka i jego wigor tragiczny; czasami używa porywającej wymowy Spontiniego. W nieudatnych miejscach hałas śpiew głuży, jakaś mgła niemiecka zaciemnia wszelkie światło i melodyę. Instrumentacya zbyt wrzaskliwa jest główną wadą Berlioza; harmonia dla niego wszystkiem, melodya niczem. Ztąd błędy. Głos ludzki jest ulubionym instrumentem melodyi; nakazuje ona orkiestrze poszanowanie, sama dominuje wszystkie tony tonem miłości. Harmonia przeciwnie: niezdolna wyrazić uczucia jedynego, lubuje się w zgiełku. Osoby dramatu, w którym harmonia wyłącznie panuje, śpiewające wśród wrzawy, podobne są do Demostenesa przemawiającego do wzburzonego morza.

Ostatecznie, talent nad systematem górę bierze: ogólne wrażenie takie, jakiegobyś doznał słuchając wielkiego artystę grającego na wrzaskliwym i twardym instrumencie, z którego jednak potężne zdołał wydobyć akordy. Gmach cały może runąć, ale akt drugi pozostanie, jako drogocenna płaskorzeźba rozkruszonego portyku.

Wystawa jest co się zowie artystyczna. Dekoratorowie przedstawili Kartaginę afrykańską, wydobytą z pod ziemi przez Flaubert'a.

Teatr liryczny przedstawi niebawem „*Mireilla*” nową operę pana Gounod, której libretto wyjęte z pieśni francuzkich trubadurów. Przedstawienie tego nowego utworu piewcy *Fausta*, opóźnione zostało słabością pana Gounod, który, jak słyhać, jest niebezpiecznie chory.

Dwutomowy romans Teofila Gautier „*Le Capitaine Fracasse*” napisany mistrzowskiem piórem, uidealizowany kilku szczytnemi postaciami, rozweselony mnóstwem figur komicznych, roztaczający około trupy komedyantów, których przygody opowiada, najciekawsze obrazy z pierwszej połowy XVIIgo wieku, należy do przedziwności języka francuzkiego. Od dawna nie wpadła nam w rękę książka tak wykończona, dociągnięta, dostrojona niby harfa dźwięcząca pod trafnem uderzeniem biegłych palców. Jestto dzieło sztuki pisarskiej, w całym znaczeniu tego słowa. Pod względem formy dalej się nie idzie: jeżeli kiedy, to tą razą Gautier usprawiedliwił dany sobie przez Dumasa przydomek: „Benvenuto Cellini de la phrase”.

Prócz że jest mistrzem słowa, wykwinny fejletonista dowiódł jeszcze tym, co go o nieczułość posądzali, że umie być rzecznym i że potrafi sympatycznie zrozumieć najsubtelniejsze tajemnice serca.

Dla czytelników wybranych, powab tej powieści mniej leży w akcyi, jak w doskonałości roboty. Autor założył sobie trudne zadanie napisania książki otwartym i kolorowym stylem czasów Ludwika XIIIgo, w ten sposób, ażeby dyalogi osób, harmonizowały z ich ubiorami. Tej językowej przemiany Gautier dokonał bez żadnego archaicznego przepisu, jedynie za pomocą stylu swojego, wykarmionego śmietanką wszech piśmiennictwa krajowego, a zatem zdolnego oddać wszelkie narodowe kształty. W całym tym romansie nie znajdzie jednej fałszywej nuty: koloryt miejscowy zawsze najczystszy, tak na ziemi jak w powietrzu; tylko otwierając i zamykając tę książkę czytelnik spostrzega, że zmienił wiek i atmosferę. Stary język francuzki roztopia się w nowym, jak dwa rodzaje przedniego wina, które razem zmieszane tworzą kordyał pachnący!

Nie będziemy tu szczegółowo opowiadali wątku powieści. której trzy wydania rozkupione w ciągu dni dziesięciu, rozbiegły się już po całej Europie. Osnowa jej prosta jak komedyi Moliera. Młody, ubogi szlachcic, baron Sigonac, schnie z nudów i smutku w swym zrujnowanym gaskońskim zameczku. Pewnej jesienniej nocy,

przybywa do bramy wędrowna trupa komedyantów i o gościnność prosi. Znużony bladą życiem i oczarowany pięknem oczyma donny Izabelli, baron postanawia jechać aż do Paryża za komicznym wozem. Kocha, i jest kochanym. Ale Izabella jako Laura, wielbić się pozwala tylko z daleka: nie chce być kochanką pana, a nie chce także być jego żoną, żeby mu nie zagradzać drogi megaliansem.

Mimo przeszkód, nadobna para zostaje sobie wierną. Po śmierci *pierwszego kochanka* trupy, Sigonac dla miłości Izabelli, przywdziewa jego maskę i łachmany. Po pełnej przygód podróży, trupa zubożona baronem, przybywa do Poitiers, gdzie książę Vallombreuse z magnacką natarczywością zakochuje się w Izabelli. Szpada Sigonaca napasć odbija. Młody książę w gniewie, stawia liczne zasadzki rywalowi, spuszcza nawet na niego gromadę siepaczy. Waleczny Sigonac kruszy najemne noże; na czele trupy przypuszcza szturm do zamku, w którym Vallombreuse zamknął porwaną Izabellę, i wyrывa ją z rąk jego.

Do tej rycerskiej sceny, autor przypiął rozwiązanie staroswieckie, które jednym zamachem wszystko godzi i uspokaja. Stary książę, ojciec młodego duka, jawi się jako *deus ex machina*, i po pierścionku który Izabella na palec nosi, poznaje w niej swoją córkę naturalną, której od dawna szuka. Vallombreuse rozbrojony ściska nieprzyjaciela, Sigonac żeni się z Izabellą, znalezienie zaś w jego gaskońskim domu drogocennego skarbu, zakończyła tę bajkę przypomnieniem Tysiąca Nocy.

Taką jest osnowa książki w swém najsuchszym streżczeniu: stare dzieje powiększone poetyczną wyobraźnią, ot cała rzecz. Ale ileż typów przedziwnych, jakby z natury malowanych w tym bohaterko-komicznym poemacie.

Donquichot powieści, baron Sigonac, namaszczonej szlachetnym smutkiem jak dyament w swych gruzach jaśnieje. Nigdy szlachetna nędza nie była lepiej odmalowana: rzekłbyś że to portret Van Dycka, zakopcony, zczerniały ale pod kurzawą zachowujący dostojność patrycyusza. Ramy godne portretu. Rylcem Rembrandta zdają się rysowane te mury zbutwiałe, te grobowe sale,

zwiędłe makaty i ten ogród, w którym zupełny tryumf natury nad sztuką uderza. W tym opisie wydatniejszym od malowidła, nie tyle kolor podziwiać należy ile cierpiące życie tych ruin: wilgotne mury płaczą, drżą skrzypiące meble, mrą opadające freski, zrujnowany pałac kona jak człowiek.

Skoro przed pałacową bramą zламаł się wóz aktor-ski, posępny dom zaśmiał się jak filozof nagle ludzką przywarą z dumań obudzony. Nowe twarze, nowe charaktery, tłumnie wchodzą w opustoszałe ściany: *Pedant*, mówiący językiem Rabelaisa; *Tyran*, pocziwe człeczysko pod maską Heroda; *Kochanek*, tak chudy że choć widziany z przodu, zda się że stoi bokiem... nieborak, ciągle pości żeby zachować tę drogocenną, do roli zakochanych niezbędną chudobę i melancholią, która tylko głodem utrzymać się daje. Wszyscy aktorowie są przedziwnie narysowani; mimowolnie grają swe role w życiu rzeczywistém: maski ich stały się twarzami, w dzień biały zachowują sztuczne odbłaski łojowej świecy.

Piękna połowa trupy nie mniej dobrze się udała. Donna Serafina *pierwsza kokietka* zgromadzenia, na wstępie uderza wzięciem wędrującej królowny. Zerbin'a, pokojowa, postrzelona, rozchichotana, chuda jak charcica, błyskawicowym miga dowcipem kręcąc się jak salamandra w ogniu. Izabella jest lilią wyrosłą na śmieciisku. Postać prześliczna! równie jasnego ducha jak oblicza. Słowa które autor w jej usta wkłada, podnoszą ją do ideału czystości. Nie sztucznego w jej skromności, nie udanego w jej enocie: urodziła się czysta i dumna, jak lilia rodzi się wspaniała i biała. Skoro przy końcu książe poznaje w niej swą córkę Izabellę, zdaje się tylko porzucać przybrane *incognito*. Miłość łącząca Izabellę z baronem ma coś rycerskiego: przenosi w czasy, kiedy zdobycie kobiety było krucyatą, kiedy wielbione *damy*, na wieży kręcąc wrzecziono, po całych latach wyglądały powrotu plato-niczego kochanka. W malowaniu takich typów niewieścich Gautier celuje. Jego Alicia, Prascovia, Militona, są najczystszebohaterkami romansów francuzkich.

Pokazawszy śmiejącą maskę komedyi, autor odsłania drugą jej stronę: oplakaną. Jakież rozpaczliwy obraz

tęj pustyni śnieżnej, zamiatanęj grudniowym wichrem, po której toczy się wóz komiczny ciągniony przez zdychającą szkapę. Naraz spostrzegają podróżni, że jednego z nich brak: chudy kochanek zniknął! Szukają go koledzy i znajdują pod drzewem, zmarzłego. Biedny komedyant, rzekłbyś że schował się umyślnie, ażeby dopełnić poważnej czynności umierania! Wszystko się składa na efekt tej tragicznej sceny: szumi zawieja; psów dalekie dolatuje wyście; błazeńskie przybory straszliwie odbijają od tła żałoby: litość i strach zbiera....

Nie wiem przez jakie poetyczne pokrewieństwo to zawiane śniegiem pole poitweńskie, po którym rozproszone błazny szukają zmarzłego towarzysza, przypomina lodowate łąny, po których błądzi król Lir z rozwianym siwym włosem, a za nim błazen potrząsający oszronioną grzechotką.

Duk Vallombreuse jest także dobrze namalowanym typem francuzkiego don Juana z czasów Ludwika XIIIgo. Paryż ówczesny odbudowany z rzadką dokładnością. Żyją w nim, chodzą i mówią wszystkie te excentryczne postacie, których kształt przechowały ryciny Callot'a i Boss'a: pokręcające wąsa paniczki, izałotnice w lektykach, lekarze na mułach, pedanty w óczący po błocie obszarpane płaszcze; rębacze, zębo-rwacze, żebraki, draby, oszusty, wszystko to jest uszykowane w malownicze grupy.

W ostatniej części, powieść hiszpańskiej nabiera postawy: gonitwy, pojedynki, szturm, przypominają rycerskie czasy Cyda; wszystko oddane z amfazą i komicznością hiszpańskich pisarzy. Gautier posiada w równej mierze pojęcie piękna i wyobrażenie potworności śmiesznej. Krew Rabelaisa płynie w tym talencie do marmuru greckiego podobnym. Żaden z piszących teraz Francuzów nie ma bogatszej wyobraźni, ani wesołości szerszej. Gautier posiada jeszcze wesołość wewnętrzną, płodną w pocieszne pomysły i niespodziane żarty wyższej komiki, cechującej talent Arystofanesa: nie wyszydza półgębkiem, ani drwi pocichu, ale śmieje się głośno, jak upojeni nektarem bogowie śmiać się musieli patrząc na robaczą małość śmiertelników.

Wszystkie opisy cechuje wykończenie, będące ostatniem słowem wykonania. Czy Gautier maluje zwałiska zamku, czy karcznię, czy profil miasta, czy sielską zagrodę; czy opowiada biesiadę, czy pojedynek, twarz, czy odzienie, zawsze tak właściwemi słowy, wyrażeniem tak trafniem, że zadziwi filologa, a zachwyci artystę. Mnóstwo kolorów, a żadnej pstrocinizny na tej palecie, w której wszystko się odzwierciadla. Każda rzecz tu zarówno dociągnięta; każda figura wykończona, jakby była bohaterem; nie ma postaci podrzędnych: każda osoba na swój miejscu jest główną. Nawet zwierzęta zaklęte czardziejstwem stylu, nabierają indywidualności, która ich od reszty ich rodzaju wyróżnia.

*Kapitan Fracas*se oznacza epokę w piśmienniczym zawodzie Teofila Gautier: świetny ten pisarz wszedł w pełnię talentu, w której artysta opanowawszy styl jak muzyk swój instrument, może wyrazić wszystkie swoje marzenia i nadać myśli kształt skończony.

Michał Nicolas, uczony oryentalista i professor, wydał nowe studium religijne, pod tytułem: „*Etudes critiques sur la Bible*”. Głośne dzieło Renana obudziło tu wielkie zamilowanie w tego rodzaju badaniach, książka więc znalazła mnogich czytelników. Jest ona dopełnieniem wydanych przed dwoma laty badań Starego Testamentu: badanie *Nowego* napisane w tymże duchu i wedle podobnego planu.

Autor nie troszcząc się o dogmata, sprowadza pierwotny chrześcijaństwo na grunt historycznej rzeczywistości. Dla tego, nie zważając na późniejsze legendy trzymał się tylko faktów podanych przez pierwsze dokumenta kościelne, które mówią i objaśniają się same. Nie jest to atoli obraz zupełny pojęć i literatury kościoła pierwotnego, lecz tylko badanie trzech najważniejszych kwestyj dotyczących Nowego Testamentu.

Pierwsze studium bada ewangelie. Autor oznacza charakter tych czterech dokumentów, ich stosunek względem siebie i sposób, w jaki ułożone były.

Drugie studium odnosi się do apostołów: autor bada, w jaki sposób pierwsi propagatorowie nowej wiary pojmowali zasady Mistrza.

Trzecie studium roztrząsa układ kanonów. Autor tłumaczy, z powodu jakich okoliczności, 27 pism rozmaitych, tworzących Nowy Testament, a w zasadzie od siebie różnych, zostały razem połączone.

Zbyteczna zwracać uwagę na węzeł wiążący trzy powyższe studia: sam on wpada w oczy czytelnikowi; lepij przytoczyć tu wynik poszukiwań autora.

W XI wieku badania podjęte przez Nicolasa zajmowały już pisarzy duchownych i od tego czasu nie przestały zwracać uwagi teologów. Nie dopiero dzisiaj spostrzeżono, że nasze cztery ewangelie nie w zupełnej z sobą pozostają zgodzie. Różnica ta od niepamiętnych czasów zakłócała wiarę wiernych, a przeciwnikom chrześcijaństwa dostarczała powodów do powątpiewania o ich historycznej prawdzie. Wykłady Ojców kościoła nie rozproszyły ciemności. Jeszcze w końcu Vgo wieku znaleźli się ludzie, którzy, jak powiada ś. Augustyn, nie uważali ewangelii za opowiadanie prawdziwe. Ażeby ich zmusić do milczenia, biskup Hippony, napisał wymowną rozprawę usiłującą dowieść zupełnej zgodności ewangelij.

Tenże sam temat późniejsi pisarze duchowni podejmowali wielokrotnie. Na poparcie swoich wniosków nagromadzili przypuszczeń co niemiara; mimo to kwestya na krok nie postąpiła; fakt pozostał: ewangelie nie zgadzają się z sobą.

W obec tego pewnika, mniej stronni krytycy, zamiast przeczyć oczywistości, przyznają, że ewangelie w głównych punktach nie zgodne, i starają się to wytłumaczyć konieczną różnicą podań, niedostatecznością zebranych objaśnień, nakoniec. odrębnym celem piszących i rozmaitemi wnioskami, jakie z historyi pierwszego wieku ery chrześcijańskiej wyciągnęli.

Do rzędu tych ostatnich krytyków należy Nicolas. Pogląd też jego sprawiedliwy i mniej od prawdy dziejowej odległy: nie naciągając tekstu, usiłuje uchwycić jego rzeczywiste znaczenie.

W drugim studyum zawartém w książce, o której mowa, autor na pewniejszym opiera się gruncie.

Jest prawdą stwierdzoną pismami apostołów, że nauka Chrystusa była dwójako zrozumianą przez pierwszych Jego uczniów; że się dzielili na dwa stronnictwa: jedni uważali nowe przepisy za prostą reformę judaizmu i pozostali na pół Żydami; drudzy wyżej je pojmując, oddzielili od praw Mojżeszowych i uważali za religią powszechną powołującą do braterstwa ludzi wszelkiej narodowości. Na czele pierwszego stronnictwa stał Piotr; głową drugiego był Paweł.

Uczniowie obu tych apostołów przechowywali ich niezgodę: szerzyło się rozdwojenie w religii — należało za pobiedz złemu. Teologowie duchowni w tym razie nie więcej zakłopotani, jak kiedy chodziło o niezgodność ewangelików, postąpili podobnie: zaprzeczyli po prostu różnicy pojęć apostoelskich.

Mimo to, niezgoda Piotra i Pawła, nie zagojona, długo różniła chrześcian. Nicolas nie mało na to przytacza dowodów; w końcu powiada: „Jeżeli Paweł nieinaczej jak Piotr i Jakób pojmował chrześcianizm, cóż znaczą liczne opozycye, jakie napotykało pismo tego ostatniego w pierwszych wiekach, tak dalece, że długo niechciano go zamieścić w zbiorze pism świętych Nowego Testamentu? Opozycye te odnowili w wiekach średnich, chociaż nie śmiało, Hugo z Saint-Victor, Hugo z Saint Cher i Mikołaj Lyra, a w XVI stuleciu z gwałtownością zażartą, Luter, który list Jakóba zupełnie potępił? Co znaczą nad to, stałe a nieszczęśliwe usiłowania ortodoksów chcących koniecznie pogodzić teorią Pawła *zbawienia przez łaskę*, z teorią Jakóba, *zbawienia przez czyny*”.

Fakt, który teologowie duchowni napróżno usiłowali zatrzeć nierozsądnym wykładem tekstu Pawła i Jakóba, Nicolas tłumaczy w sposób bardzo prosty: twierdzi on, że w zwykłym porządku rzeczy leży, iż nie wszyscy uczniowie jednako pojmują naukę swojego mistrza. Nie tylko wydaje mu się rzeczą naturalną, iż uczniowie podzielili się na dwa obozy w wykładzie zasad Zbawiciela, ale nawet objaśnia przyczyny tego rozdziału. Zdaniem jego, jak owo ziarno w przypowieści o *siewbie*, słowo Chrystusa

padło na dwie role rozmaicie do jego przyjęcia przygotowane. Wszyscy pierwsi chrześcijanie, którzy uważali nową naukę za reformę judaizmu i nie chcieli zupełnie zerwać ze starą wiarą, pochodzili z Palestyny. Ci zaś, którzy widzieli w religii Chrystusa nową wiarę powszechną, pochodzili z hellenńskiego odłamu rodziny Izraela. Ci ostatni, przez wychowanie tak różne od tego, jakie odebrali ich bracia z Palestyny, przez swe duchowe dążenia, przez niepodległość duchowi formuł panującemu w Jerozolimie, byli w stanie lepiej zrozumieć wysokie znaczenie słów mistrza niż apostołowie judejscy. Jedni i drudzy żadną miarą jednak nauki Chrystusa pojąć nie mogli.

Daléj Nicolas zbija zdanie tych krytyków, którzy utrzymują, że Paweł przerobił dzieło Chrystusa, powiększył je, i potęgą swojego geniuszu, prostą reformę przeistoczył w religią powszechną. To przypuszczenie usuwa zupełnie ten fakt znany, że zanim Paweł przyjął nową wiarę, już powszechność jej popierali Stefan i Helleniści, którzy około niego się skupili, a którzy po jego śmierci wypędzeni z Jerozolimy, pierwsi nauczali pogan ewangelii. Gdyby nie ta okoliczność, to i tak jeszcze, przypuszczenie takie byłoby w sprzeczności z ogólnym duchem nauki Chrystusa i muóstwem własnych słów jego.

Tak tedy, dwa stronnictwa teologiczne, które stanęły naprzeciw sobie zaraz po zniknięciu mistrza, biorą początek w dwóch odłamach ludu izraelskiego: w łonie nowej religii prowadzą daléj opozycyą, która istniała w judaizmie pomiędzy Żydami Palestyny a Żydami tułactwa. Chrześcianizm powszechny z towarzyszącą mu metafizyką religijną, tak w liście Pawła jako i w czwartej ewangelii nie jest czém inném, jeno nauką Chrystusa widzianą przez oświatę alexandryjską i judejską religią, nie oderwaną, formułkową, a nader praktycznego ducha. Ostatni ten pogląd można nazwać palestyńskim wykładem chrześcijaństwa.

Przytoczone przykłady, odnoszące się do pierwszego i drugiego studyum, wystarczają do oznaczenia stanowiska, z którego zapatruje się Nicolas na te ważne kwestye, które od początku naszej ery nie przestawały zaprzętać teologów. „Teologia duchowna tłumaczy je zgodnie ze swoją

teorią, powiada autor, my krytycy świeccy, patrzymy ze stanowiska historycznego, nie wdając się w żadne tendencyjne naciągania. Taka metoda wydaje nam się najlepsza, gdyż nie zmusza faktów do naginania się ku teorii zbudowanej *a priori*."

Studjum Nicolas'a napisane zupełnie w tym samym duchu co studjum Renana, nie mniej uczenie, chociaż mniej pięknym stylem, liczy się do znakomitszych dzieł religijnej krytyki, która we Francyi coraz więcej znajduje zwolenników, i niezadługo Niemców w tej gałęzi badań doścignie.

Wyszedł tom listów uczonego Genewczyka Karola Sismondi. Dla pamięci nieboszczyka, szczęście to niepospolite. Zmarły przed dwudziestą laty, Sismondi był już prawie zapomniany. Dzieł jego ledwo wspomnienie zostało: wiedziano tylko, że napisał wielkie dzieło o republikach włoskich, drugie niemniej obszerne o historii francuskiej i parę rozpraw ekonomicznych; że był wolnomysłny, uczony bardzo i trochę nudny. Słuszne czy nie, takie było pojęcie, które sobie młode pokolenie o tym pracowitym i zacnym pisarzu wyrobiło.

Aż niespodzianie, w jakiejś prowincjonalnej bibliotece wynaleziono jego listy, które nagle rozjaśniły posępną fizyonomią starca. Zwykle dzieje się odwrotnie. Pod szanowną maską pisarza, znajdujesz charakter blade — czasami podły. Sismondi przeciwnie, okazuje się daleko znakomitszym człowiekiem niż pisarzem. W jego książkach bardzo zasmakować nie można; listy zaś jego budzą sympatyczne uszanowanie, często miłość dla tego, co je pisał. W poufnych zwierzeniach piękna dusza wybija co chwila — styl staje się naturalny, często rzewny i poetyczny.

Pan René Taillandier, wydawca tych listów Sismondego, poprzedził je przedmową, w której podaje biografią jego, oraz wizerunek jego matki, znakomitą pod każdym względem niewiastą.

Karol Sismondi urodził się w Genewie 1773 roku, z rodziny tokańskiej, która osiadła w Szwajcaryi po odwołaniu edyktu nantejskiego. Ojciec jego był pastorem

u stóp góry Salere. Karol skończywszy szkoły, został posłany do domu handlowego w Lyonie, ale rewolucya wnet go uwolniła od karyery, do której miał wstręt wrodzony. Powrócił do Genewy; ale i tu przyszła rewolucya sroga.

Z tych czasów datuje wypadek świadczący o silnym charakterze Sismondego. Nowa władza skazała na śmierć czterech znacznych urzędników miejskich. Jeden z nich ściągany, przybył się schronić do domu Sismondich na granicy terytorium genewskiego; pani Sismondi ukryła go w ogrodowym pawilonie, którego jedno okno wychodziło na terytorium francuzkie, i powierzyła pieczę altany synowi. Ten w razie niebezpieczeństwa miał ostrzedz gościa i wyprowadzić go na ziemię francuzką. Pewnej nocy czuwający Karol usłyszał mierzony krok żołnierzy... Biegnie do pawilonu, stuka, woła... napróżno: zbieg śpi jak zabity, a hałas się przybliża—nareszcie spostrzega żołnierzy zmierzających ku altanie. Zaslaby żeby drzwi wysadził, Sismondi postanawia ich bronić: zabijają mnie, jeżeli zechcą, myśli sobie, ale hałas walki obudzi ściganego i dozwoli mu uciec.

Karol szlachetne postanowienie spełnił—ale bezowocnie. Krzyk matki w chwili kiedy syn uderzony w głowę kolbą, padł bez zmysłów, zbudził nareszcie śpiącego. Porwawszy się nagle, zamiast uciec oknem wychodzącym na stronę francuzką, zbieg otworzył to, które przyjaciel swojemi piersiami zasłonił i wpadł w ręce żołnierzy.

Rano, po tej okropnej nocy, rodzina Sismondich modląc się ze łzami, usłyszała strzały, które przeszły piersi czterech nieszczęśliwych zbiegów.

Po tym wypadku, rodzina Sismondich powróciła do Toskanii. Tam Karol rozpoczął badania historyczne; ale wnet podejrzany Austryakom, dwa razy był więziony. Listy jego pisane do matki z więzienia, cechuje moc duszy i niezłomność przekonań. Jakim był w ośmnastu latach, takim całe życie pozostał: pełen wiary w wolność, gdyż ją uważał jako podstawę cnót społecznych; nie zdolny przeklinać wolności nawet wtedy, kiedy błądzi—nie zdolny był również, jednoczyć jej z nieładem i rozpustą.

Pani Sismondi wywierała przeważny wpływ na syna: łączyła ich przyjaźń najczulsza. Sismondi w liście do hrabiny Albano, powiada: „Żaden stosunek nie jest tak ścisły jak matki z synem, jeżeli są dla siebie stworzeni, jeżeli jeden duch, jedno uczucie ich jednoczy; jeżeli przyuczą się wszystko sobie powierzać jako najlepsi przyjaciele; jeżeli gust, który im kazał wybrać siebie, połączy się z matczyną opieką i synowskim szacunkiem. Bardzo żałuję, że pani nie znasz mojej matki; jestto osoba, którą najwięcej kocham na świecie: co większa, osoba najmielsza jaką znam. Pani Staël jest genialniejsza, więcej błyszczy; ale moja matka w niczém jęj nie ustępuje, ani w delikatności, ani w czułości, ani w wyobraźni; nawet wyższą jest od nięj słusnością i stałością zasad, czystością duszy, która ma dziwny powab w tak późnym wieku”.

Tak kochał syn. Obaczmy teraz, jak matka jego kochała.

Pierwsze jęj listy odnoszą się do epoki, w której Sismondemu ofiarowano katedrę ekonomii politycznej na uniwersytecie wileńskim. Przyjęcie było wynarodowieniem. Matka nie chciała narzucać swęj woli synowi, ale na samą myśl tego rozstania i tęg expatryacyi, drżała... Łzy matki więcej niż rozkaz jęj znaczą. Przyznać więc trzeba, że ona pozbawiła wileńską wszechnicę uczonego profesora. Oto co pisze do syna z tego powodu: „Nie pytaj, jak ja *czuję* ten straszny interes wileński; zbyt wiele mnie kosztowało usunięcie tego uczucia. Ale czyżes go nie odgadł? Czyżes zapomniał, z czego moje szczęście złożone? Ty co się lękasz spędzić lat dziesięć zdala od ojczyzny, czyż nie wiesz, że te lat dziesięć, to więcej niż wszystko co mi do życia pozostaje? Od chwili jak się zaczną, wszystko będzie dla mnie skończone! Nie mówię, że z tego umrę. Tylko w sile wieku zdaje nam się, że umrzemy z cierpień, które wyobrażamy sobie nieznośne; wtedy tylko wierzymy, że miara sił moralnych jest miarą życia. Skoro postarzejemy w burzach, dowiadujemy się, że one pomną, pogną i umęczą, ale nie zabiorą. *Zmartwienie szarpie życie, trzeba ciosu natury, żeby śmierć nastąpiła*”.

Głęboką prawdę tych słów zrozumie każdy, kto cierpiał wiele. Wszystkie listy pani Sismondi odznaczają się mądrością i wysokością poglądu.

Po takim liście Karol odmówił katedry wileńskiej i wziął się do pisania *Historji rzeczypospolitych włoskich*. Z tego powodu matka daje mu następujące rady:

„Strzeż się wszystkiego, co zdaleka lub zblizka przypomina retorski sposób pisania filozofów 89 roku, którzy grzmiały zaledwie otworzywszy usta. Ciepło powinno przychodzić z rozwinięcia. Miło jest dostrzedz pod popiołem ogień przed wybuchem; czytelnik chętniej podziela uczucia autora, skoro do mety przybędą razem, stopniowo”.

Zaczawszy pisać, Sismondi się zniechęcił, zwątpił o swém powołaniu dziejopisarskiem i o swoim talencie. Matka usiłuje go podnieść temi słowy:

„Martwi mnie nastrój, a raczej rozstrój twojej wyobraźni. Czemu wątpisz o sobie? Synu drogi nie upadaj! wyprostuj się! elektryzuj wszelkiemi sposobami, rozumie się, szlachetnemi i pewnemi. Dziecię moje zaklinam cię, nie dręcz serca zwątpieniami, których doznajesz; są one naturalnem następstwem i potrzebą rzemiosła autorskiego: wszystko się od tego zaczyna. \* Mój Karolku, nie zniosę, żebyś źle mówił o literackim zawodzie. Przybądź, niech cię nauczę widzieć rzeczy z pięknej strony; a jeżeli się tego odemnie nauczysz, niech się tém przed wszystkimi poszczycę. Kiedy mówię z *pięknej strony*, jestto krasomówny kwiat, gdyż chcę tylko, żebyś był sprawiedliwy i konsekwentny. Bez wątpienia, literat dźwiga swoje właściwe brzemie, kiedy każde powołanie ma swoje, ale ciężar jego nie większy od wspólnego. Wielkie wstrząśnienia dotyczą go pośrednio, trud; to jest praca, jest jedną z jego przyjemności; nagroda za nią często podwójna. Zaprawdę, gdybym mogła drugi raz się urodzić i wybierać, wybrałabym zawód literacki, jako najszlachetniejszy”.

W innym liście, à propos Beniamina Constant, w którym Karol bardzo się rozkochał, matka stara się ustrzedz syna od lekkomyślnych przyjaźni. „Mów, co chcesz, ja ci powiadam, że Benjamin nie ma serca! Nie należy

zawiazywać łatwo, dlatego, żeby nie mieć potrzeby rozwiązywania, co jest zawsze rzeczą nader bolesną”.

Kiedy Sismondi miał jechać z panią Staël do Włoch, które jej natchnęły *Korynnę*, przenikliwa matka woła: „Śliczna podróż! ale bądź ostrożny. Podróż jest jak krótkie małżeństwo: zawsze i zawsze razem, zbyt się ludzie zbliżka widzą, wady nie mają się gdzie skryć a od natury i od świata zepsute dziecko, jak ona, musi mieć wady, chociażby tylko rano, w chwilach zniecierpliwienia lub nudy; a ja znam kogoś, który zaraz się zżyma, skoro dopatrzy plamkę na tych, których kocha. Potrzeba tedy, żeby ten ktoś z podwójną uwagą śledził własne niedostatki, usiłował je zapełnić, na wady zaś towarzyszki, żeby nie patrzył wcale. Jużes sobie sam musiał to powiedzieć, nie zawadzi powtórzyć. Gdybym mogła znaleźć ten pierścień czarownicy, co to kłuje, ilekroć człowiek ma zbłądzić, posłałabym ci go dla większej pewności”.

Kończymy wyjątki z prześlicznych listów pani Sismondi, ustępem, gdzie mówi o tolerancyi religijnej.

„Nie dziwnego, że ludzie nienawidzą tego, kto bezużytecznie zaczyna pojęcia, na których ich szczęście spoczywa. Mogą one być błędne, ale błędy oddawna przyjęte jeszcze szanowniejsze od tych, którebyśmy na ich miejsce postawić chcieli, gdyż nie znajduje koniecznie prawdy, kto systemat religii przyjętej obali. Jeżeli ta prawda nie jest objawioną, kryje się w nieprzejrzanym umysłem ludzkim ciemnościach. Zostaw więc w spokoju świętą Tróję, Madonnę i Wszystkich Świętych. Dla tych, co do téj doktryny są przywiązani, to są kolumny trzymające gmach cały; jeżeli je usuniesz, runie. A wtedy cóż się stanie z duszami pozbawionemi wszelkiej pociechy i nadziei? Pobożność jest jedną z najśłodszych miłości duszy, a najpotrzebniejszą do jej spokoju. Wszyscy potrzebujemy wierzyć. Skoro myśliciel przestanie burzyć i obejrzy się po za siebie... O! jakże wtedy droga jego stromą i dziką mu się wyda! jakby chętnie chwałę podboju oddał za jedną słodką chwilę wiary i poezyi, która jeszcze prostaczkom ścieżki kwiatami uściela”!

Sismondi stracił matkę w 1821 roku. Długo był niepokieszony. „Odczytuję jej listy, mówi, i znajduje

w nich cudowne rzeczy! prawie nie smutne. Wskrzeszać tym sposobem matkę, słyszeć jeszcze jej głos, jej rady... to wiele! Ale, mocny Boże! cóż zostaje z tak ogromnej miłości? Czy bychy mogło, że ona jeszcze gdzie jest? że o mnie myśli, czuwa nademną, składając jak dawniej, całe szczęście swoje we mnie i pojąc się miłością, jaką dla niej w sercu chowam... Ach! jakżebym chciał w to wierzyć, a raczej zrozumieć to”!

W 1800 roku, kiedy Sismondi powrócił do Genewy, miał lat dwadzieścia ośm. Piśma uczyniły go już sławnym. W tej epoce był najczęstszym gościem w Coppet, nadlemańskiej rezydencji, gdzie Necker spokojnie dogorywał, a pani Staël ściągala mnóstwo wielbicieli; Sismondi należał do najpoddających. Zwiedziwszy z nią Włochy, towarzyszył następnie w podróży po Niemczech. Powiernik i przyjaciel nie może oczywiście zdradzać jej tajemnic, ale z tego co pisze, widać, że autorka *Korynny* miała wówczas dla Beniamina Constant gwałtowną a nieszczerliwą namietność w sercu, może w głowie, która czasami wybuchała nakształt wulkanu i wrzącą lawą zalewała cierpliwego powiernika.

Sismondi żył także wówczas sercem. Zakochał się w Genewie, w dziewczynie bez majątku, należącój do niskiej warstwy społecznej. Chciał się koniecznie z nią żenić, ale pani Staël wybiła mu z głowy to małżeństwo. Ostateczny koniec walce położyła śmierć biednej Lucylli: suchoty rozwinięte zmartwieniami, zabiły biedne dziewczę. Umarła, zostawiając w sercu Karola niezagojoną ranę. Praca odtąd stała się jego jedyną pociechą.

Wydawszy parę tomów swoich *Włoskich rzeczypospolitych*, zobowiązał się dostarczyć *Biografi Michaud'a* sto życiorysów sławnych Włochów. Poprzestając na literackich dochodach, odmówił professorskiej katedry, którą mu ofiarowano w Genewie. Wszystkie wolne chwile spędzał u pani Staël wraz z Beniaminem Constant i filozofem Schleglem, który był guwernerem jej dwóch synów.

Z tej epoki są listy Sismondego od hrabiny Albano, które wydał pan Saint-René Taillandier. Można z nich mieć wyobrażenie dokładne o salonie pani Staël i o niej samej. Ktoby chciał opisywać tę grupę znakomitych ludzi,

których burze polityczne nad modry Leman zagnały, malować portrety, z których się składała, oraz przeniknąć tajniki ukrytych położeń, w listach Sismondego znajdzie farby do dzieła i klucz do niejednej zagadki.

Na wstępie widzimy wizerunek samój pani, skreślony z pięknej i nie pięknej strony. Oto pierwszy:

„Pani Staël jest przedewszystkiém namiętnością, zapalem. Gwałtownie potrzebuje być kochaną, a więcéj jeszcze kochać sama, przywiązać się i współczuć. Szlachetnej litości jest pełna. Zapala się do wszystkich wielkich rzeczy, do wolności, wielkości i chwały; nigdy umysł naturalniéj nie podnosił się do ideału. Ztąd jéj geniusz. Ze wspaniałości płynie jéj wymowa; chce poruszyć, przekonać, działać. Dla tego jéj talent jest może nazbyt oratorski. Styl to nerwowy, zapalny, ale nie plastyczny, obrazy więcéj światłe, niż kolorowe. Pani Staël jest więcéj myślicielem, niż artystą”.

Wady przyjaciółki równie jasno widzi Sismondi, jak zalety. „Jestem, powiada, w zupełnej z nią zgodzie co do zasad politycznych; nie zupełnie zgadzamy się w uczuciach, któremi je otacza. Pani Staël w sądach swoich zwykle jest porywcza, pogardliwa i nienawidząca. Potęga zdaje się nadawać każdemu umysłowi téż samą przywarę; pani Staël ma wady wspólne z Bonapartem. Jak on nie znosi wszelkiéj opozycji: w dyskusyi, jak on, jest obelżywą. Nigdy nie postawi się na miejscu drugich, cały jéj rozum nie daje jéj pojęcia o tém, co nie jest nią... Nadto, skarżyć się lubi. Gdyby kto chciał słuchać bogatych, myślałby, że oni tylko są nieszczęśliwi. Dziwna rzecz, żeby zagrabiać wszystko, nawet nieszczęścia”.

Skoro w 1814 roku pani Staël ogłosiła swoje zdanie o samobójstwie, Sismondi taki napisał komentarz do jéj wyobrażeń. „Pojęcia jéj o samobójstwie pochodzą z jéj charakteru, nie z rozumowania. Pani Staël jest niezmiernie trwożliwa; kobiety nie mają potrzeby być inne. Dawniéj obawiała się śmierci; teraz więcéj się boi diabła, a jeżeli wolicie, sądu ostatecznego. Bojaźń nie jest logiczną. Kiedy w młodości lękała się śmierci, uwielbiała téż wszystko co jéj się nie lękało; samobójstwo, pojedynek wydawał jéj się szczytem bohaterstwa. Wiele złego

zrobiła swoim zapalem dla takich czynów, które rzeczywiście wymagają tylko nieco bardzo powszechnej odwagi, a nie są bynajmniej udziałem dusz wielkich. Odkąd *nawrócenie* napoiło ją większym strachem tego co będzie po śmierci, już nie mogła badać spokojnie, czy w systemacie choćby najreligijniejszym, samobójstwo nie mogłoby być dozwolone równie jak pojedynek w naturalnej obronie, często potrzebnej obronie honoru, obronie koniecznej naszego spokoju, jako lekarstwo dostarczone przez naturę na bóle nieznośne, na które same jej prawa mogą nas wystawić. Najczęściej samobójstwo ani na pochwałę, ani naganę nie zasługuje, podobnie jak amputacya, której się poddajemy dla własnego interesu. Jestto jedno z tysiąca lekarstw, które mamy pod ręką, najenergiczniejsze. Zdaniem mojem pani Staël rozumuje niesłusznie i nie z dobrą wiarą; ale jest tam czułość i wymowa: ludzie téż od niej wrażeń chcą, nie przekonania”.

Powyższe tłumaczenie pojęć *Korynny*, nie bardzo pochlebne, wydaje nam się nader trafne.

W salonie pani Staël, po niej samój największe miejsce zajmuje Benjamin Constant. „Nie znałby pani Staël, powiada Sismondi, ktoby jej nie widział z Beniaminem. On jeden ma moc dorównywającym jej dowcipem rozbudzać całego jej ducha, potęgować go sporem, podniecać wymowę i odsłaniać dno myśli, która tylko wobec niego otwiera się do głębi. On także sobą jest tylko przy niej. Kiedy po śmierci pani Staël zobaczyłem go złamanego, nie mogłem uwierzyć, że to ten sam człowiek”.

Sismondi, jak to powiedzieliśmy wyżej, widział zblizka tę miłość, do której sceptyczna natura Constant'a nie zdawała się zdolna. A jednak kochał niewątpliwie, bo cierpiał. Cierpiał tak mocno, iż na uleczenie się użył dziwnego lekarstwa: kochanek geniuszu ożenił się z kobietą nadzwyczajnie ograniczoną. Posłuchajmy, co o tém małżeństwie mówi Sismondi. „Constant zrobił szczególny wybór! Ludzie wyobrażają sobie często, że burzę grzmiącą w ich sercu wzniecił przedmiot ich miłości, i że ją uciszą, przywiązując siebie do wstrętniej istoty. Uciekając od tego, co do nich podobne, chcą uciec od siebie

samych; ale to zły sposób. W takim stowarzyszeniu dusza burzliwych ludzi traci swój polot, nie tracąc poczucia siebie samój. Nie śmieją czuć, ani myśleć, żeby się nie urazić sprzecznością, podobnie jakby kto wyrzekł się grać na instrumencie z powodu fałszywej struny, którą doń przyłączono. Po cierpieniach żywych, ale też żywą przeplecionych rozkoszą, musi nastąpić zniechęcenie do życia; ten co popełnił pierwsze samobójstwo, zabijając swój umysł połączeniem z istotą niską, wydaje mi się na drodze do popełnienia drugiego. Chciałbym się omylić co do Beniamina, ale obawiam się, iż zrobił wszystko co należało, żeby się straszliwie unieszczęśliwić”.

Wielce uczony krytyk niemiecki Wilhelm Schlegel dziwną grał rolę w Coppet. Pani Staël przywiozła go sobie z Niemiec w 1804 roku i poruciła mu wychowanie swoich dwóch synów. Wyznaczając mu 12,000 franków pensyi rocznej, miała i to na widoku, że się sama nie mało od tak światłego człowieka nauczy. Drożej atoli tę wiedzę okupywać musiała; stosunek był trudny, często nieznośny. Schlegel nadęty pychą niezmierną, którą czyniła jeszcze drażliwszą zależność w jakiej pozostawał, rzadko kiedy raczył się zadawać z otaczającemi go śmiertelnikami. Czasami tylko mieszał się do rozmowy. Sismondi powiada, że ilekroć pani Staël miała gości, guwerner stawał się gadatliwym, przybierał ton poufały i nazywał panią domu „moja kochana”. Sismondi szczerze go nie lubił. „Jestto, pisze, pedant zarozumiały okropnie, który sądy swoje zawsze w sposób zelżywy wypowiada”.

Daléj Sismondi opisuje hrabinie d'Albany rozmaitych sławnych ludzi, którzy odwiedzali panią Staël w Coppet. Wszyscy dostojni rodacy w przejeździe z Francyi do Włoch, składali czołobitność sławnej wygnance. Odwiedzili ją, między innemi Montmorency, Sabran, Barante, pani Récamier, Chateaubriand i t. d. Ten ostatni podróżując po Szwajcaryi w 1805 roku, zajechał do Coppet z żoną. Wspomina te odwiedziny w swoich *Pamiętnikach* temi słowy:

„Zastałem panią Staël w jej pałacu mieszczącym dwór zasmucony. Mówiłem jej o jej majątku i samotności, jako dwóch drogocennych środkach niepodległości i szczę-

ścia: tém ją zraniłem. Pani Staël lubi świat, uważa się za najnieszcześliwszą z kobiet na wygnaniu, którem jabym był zachwycony. O cierpieniach się nie rozumuje; rzecz się ma z niemi jak z ojczyzną: każdy ma swoją”.

Drugi, bezimienny mąż pani Staël, niejaki Rocca, przesuwa się tylko jako nie mile widmo przez wspomnienia Sismondego. Ukazuje się właśnie w chwili wyjazdu pani Staël z Coppet. Część zimy 1811 i 1812 spędziła w Genewie. Tam poznała młodego oficera pana Rocca, który wtedy miał lat dwadzieścia pięć. Był bardzo piękny, choć kaleka. W wojnie hiszpańskiej straciwszy nogę, przybył do Genewy na kuracyą ze zdrowiem zupełnie zrujnowaném. Obaczył panią Staël *przeszło* dwa razy starszą od siebie, zakochał się w niej i wyjechali razem.

Wiadomo, iż w 1812 roku pani Staël postanowiła uciec ze Szwajcaryi. Wyjechawszy niby na spacer, połączyła się ze swą służbą i bagażami za granicą departamentu. Objechawszy Austryą, Rosyą i Szwecyą, wróciła do Anglii. Rocca towarzyszył jęj w tęg podróży. Nie wiadomo czy już wówczas byli po ślubie czy jeszcze nie.

Cała ta wycieczka do rozpacz y przywodzi Sismondego. Z początku usiłuje wszelkiemi siłami usprawiedliwić przyjaciółkę: ostro zbija krzywdzące ją zarzuty. Skoro się dowiedział o tajemném małżeństwie, ubolewa nad tym związkiem „nie tylko śmiesznym z powodu różnicy wieku, ale bardzo nie dobranym pod każdym względem”. Mąż ten umarł w kilka miesięcy po śmierci pani Staël. Sismondi nie pochlebny kreśli mu nagrobek: „Nieszczęście jego byłoby zapewne wielkie, gdyby miał serce, ale mam pewne wątpliwości w tym względzie. Nie mógł nic lepszego zrobić jak umrzeć. Dla jego i jęj honoru, szkoda że tego wcześniej nie uczynił”.

W 1817 roku przywieziono do Coppet na wieczny odpoczynek, ciało tęg, która przez lat wiele ożywiała to piękne miejsce blaskiem swojego geniuszu. Pogrzeb pani Staël odbył się w obec najbliższych przyjaciół, do których i Sismondi należał. Żal jego jest głęboki..

„Stało się! woła, zamknięty dla mnie błogi kątek, gdzie było mi tak dobrze! Zgasła latarnia czarnoksięska, w której przed memi oczyma przesunął się świat. Życie moje

boleśnie zmienione. Ach! jakże cierpiałem w dniu pogrzebu! Piękna mowa pastora, uprzytomniła mi w myśl całą stratę moją... płakałem rzewnymi łzami!”

Któżby nie zapłakał w chwili, kiedy klęcząc przy otwartym grobie widzi wstępującą weń, wraz z ukochaną osobą, całą szczęśliwą przeszłość swoją; kiedy czuje że najlepsze się przeżyło, że zostają tylko troski i niesmaki. Ta pierwsza garść ziemi, co padłszy na trumnę tak okropne wywołuje echo, przysypuje zarazem w ściśniętém sercu cały świat wspomnień; wszystko co wydawało się nieśmiertelne, co tu nam było niebem, staje się zimną mogiłą: szczęśliwy komu na niej kwiat nadziemskiej nadziei zakwitnie!

— Pod tytułem: „*Réformateurs et Publicistes de l'Europe*” członek Instytutu Franck wydał znakomitą pracę historyczną. Jestto zarazem wykład sławnych doktryn i żywa opowieść walk stoczonych za sprawiedliwość, przez wielkich myślicieli wieków średnich i odrodzenia, jak św. Tomasz z Akwinu, Dante, Wilhelm Ockam, Savonarola, Tomasz Morus, Jan Bodin i t. d. Przedmiot rozległy i wzniosły: pan Franck na jego wysokości stanął.

— Proudhon przygotowuje do druku nowe dzieło pod napisem „*Les Traités de 1815*”.

— Pan About robi korektę nowego utworu swojego, który wyjdzie niebawem pod tytułem: „*Le Progrès*”.

— Członek Instytutu Laboulaye, wydał pod napisem: „*Contes bleus*” tom ładnych powieści dla dzieci, ozdobiony kształtnymi drzeworytami. Wyobrażnia żywa i myśl zacna autora, nadaje tym powiastkom wartość niepoślednią.

— Dział książek pedagogicznych zbogacił pan Sayons znakomitą pracą pod tytułem: „*Conseils à une Mère sur l'éducation littéraire de ses enfants*”.

Do lepszych dzieł tegoż rodzaju, należą jeszcze: „*Lettres sur les Révolutions du globe*” pana Bertrand; „*Les aventures du petit Parisien*” przez Alfreda Bréhat; i „*Les Tempêtes*” przez pana Margollé.

— Wyszedł XIIty tom „*Biblioteki Narodowej*” (Bibliothèque Nationale). Zawiera sławne mowy Stefana de La Boétie „o służebności dobrowolnej”. Piękne te rozprawy dotąd zakopane w dziełach zupełnych Montaign’a, czytają się jak rzecz zupełnie nowa, tém więciej, że pisane były na wyrost.

— Wkrótce opuszczą prasę: „*Entretiens sur la pluralité des Mondes*” Fontenella, i zajmująca *Historja Cromwella* przez pana Jeudy Dugour, której tom sprzedawany będzie po 25 centimów.

— Pan Karol Monselet lekkim swém piórem zakreślił zajmującą galeryą portretów pod tytułem: „*Les originaux du Siècle dernier*”.

— Wyszedł drugi tom „*Nowych Poniedziałków*” (Nouveaux Lundis) pana Sainte-Beuve. W tym zbiorze artykułów akademickiego krytyka, znajduje się uczony rozbiór dzieł Biot’a; polityczno-niewieście Studium Katarzyny IIgić i filozoficzny pogląd na badania Ernesta Renan.

— „*L’Amérique telle qu’elle est*”. Pod tym napisem, pan Oskar Commettant wydał szkic obyczajowy, który tu uważają za najdokładniejszą fotografią Nowego świata.

— Minister oświecenia wysłał do Jerozolimy w misyi naukowej, członka Instytutu pana Saulcy. Uczony archeolog ma badać na nowo, judejskie pomniki w ogóle, a w szczególności te, które się znajdują za Jordanem, w okolicach dotąd mało znanych. Pan Saulcy musi tam znaleźć potwierdzenie pojęć swoich o sztuce judejskiej.

Pojechali z nim na Wschód pp. Salzmann, szczęśliwy eksploatator Camiros’u; ksiądz Michon, od dawna wtajemniczony w starożytności Ziemi świętej i kapitan sztabu Gélis, autor karty geograficznej znaczniejszej części Syrii.

— Umarł nagle w tym miesiącu, w siedmdziesiątym roku życia, znakomity rzeźbiarz francuzki Foyatier, twórca posągu Spartakusa i Joanny d’Arc.

